

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁEM.

W A R S Z A W A, ŚRODA 19 PAŹDZIERNIKA 1927 ROKU № 7

PIŁOMYK

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży.

WYDAWNICTWA ROK DWUNASTY.



LISTY OD REDAKCJI.

DO ZYGMUNTA I HENIA OSTROWSKICH W GROCHOWIE. A teraz, jak Wam się „Piomyk” podoba?

DO JANKI MARKIEWICZÓWNY W BIAŁYMSTOKU. Opis wycieczki do Tykocina bardzo ładny. Fotografije są zbyt szare, by można było zrobić z nich klisze drukarskie. Pomnik Czarnieckiego w Tykocinie został wzniesiony w r. 1755 przez Jana Branickiego. Czy byliście jeszcze gdzie na jakiej wycieczce?

DO JOZI KOWALCZUKÓWNY W SENKOWIE. Czy często widujecie się ze swą rodziną, która pozostała w Lubelszczyźnie?

DO ZOSI I LEONA ŁAZÓW, WŁADZIA, JOZI I STEFCI SKOTNICKICH, ANDRZEJKA WIĘCKOWICZA, ANIELCI KISIELEWICZÓWNY I JÓZIA STEFANOWICZA W SENKOWIE. Czyście sprzedali robione przez Was wycinanki, by kupić za nie książek? Pozdrówcie od nas P. Nauczycielkę.

DO F. GOLDSTEINÓWNY W CHRZANOWIE. Teraz, kiedy wreszcie doczekałaś się listu, zapewne napiszesz jeszcze do nas. Łatwo rozwiązujesz zadania z „Działu rozrywek”?

DO FELI STAŃKOWSKIEJ W IWACEWICZACH. Zapomniałaś podzielić się z nami wiadomością, czy zdałaś egzamin.

DO UCZENIC ÖDDZ. V SZKOŁY POWSZ. Nr. 4 W OZORKOWIE. Dziękujemy za miły list. Może Zuzia Mikówna jeszcze do nas napisze?

DO JADZI MATOSÓWNY I STEFY POPISÓWNY W CELESTYNOWIE. Jaką, Stefciu, czytałaś ostatnio książkę o życiu marynarzy? Czy czytałaś w „Piomyku” z roku 1924/25 powieść p. t. „Franek na szerokim świecie”? Napewno bardzooby Ci się podobała. Jadzia nie napisała nam, jak wielką macie biblioteczkę szkolną. Może to teraz zrobisz?

DO DZIECI II ÖDDZ. SZKOŁY POWSZ W MALCZU. Nie lubicie, jak wiadać z Waszego listu, swego miasteczka. Może okolice są ładne? Opiszcie nam je.

DO ST. NIEPOMNIKA W OSTASZYNIE. Oj, toś dużo pieniędzy w początku roku zarobił! Czy pracowałeś i później?

DO D. JEGIERA W NOWEJ-WILEJCE. Czy zrobiłeś przedstawienie kukielkowe z „Piomyka” p. t. „Dwa misie”, do którego się przygotowywałeś?

DO WANDZI LISÓWNY W BISKUPICACH. Niestety, ten wielki malarz zmarł w r. 1914. Kiedy tak interesujecie się Józefem Chelmońskim, oto parę szczegółów o nim: urodził się w r. 1848 we wsi Boczki w Łowickiem, kształcił się w Warszawie i w Monachjum. Zasłynął jako znakomity pejzażysta (malarz krajobrazów). Swe piękne obrazy wystawiał i zagranicą. Za swe prace otrzymał medale honorowe: w r. 1889 w Paryżu, a w r. 1891 w Berlinie. Jednym z pierwszych jego obrazów jest „Babie lato” namalowane przez niego w r. 1874.

Twoje prace chętnie przeczytamy.

DO EWCI STELECKIEJ W IMIENINIE. Czekamy Twych odwiedzin. Tak będzie najlepiej, jak piszesz: najpierw do nas zatelefonujesz. Czy na długo wybierasz się do Warszawy?

DO MIKOŁAJA JAKUBOWICZA W IWACEWICZACH. Zwróć się albo do „Naszej Księgarni” (Warszawa, Widok 22) albo do „Centralnej Komisji Dostaw Harcerstwa Polskiego” (Warszawa, Traugutta 2).

DO STEFCI MASŁOWSKIEJ, WITKA JUREWICZA, PELI WIERCINSKIEJ, WACKA I MIETKA GRZYBOWSKICH, JULKA PIWCEWICZA I FRANKA KONDRATOWICZA W ŁOSZANACH. Dlaczego jeszcze nie napisaliście w tym roku szkolnym do „Piomyka”? Czy już „Piomyk” otrzymujecie?

DO J. CHOROWICZA. Już dawno do nas nie pisałeś. Teraz nie możemy drukować takiej powieści, jak „Franek na szerokim świecie”, bo drukujemy powieść „Wesoła gromada”. Kto Ci się najbardziej podoba z „gromady”?

DO JERZEGO JASTRZĘBSKIEGO W STROMCU. Za fotografie dziękujemy. Do działu „Co u nas słychać” nie mogliśmy z nich skorzystać, bo są za ciemne, za mało wyraźne.

DO JÓZEFA ROBAKA W SADOWNEM. Czy już chodzisz do szkoły ślusarsko-mechanicznej?

DO HELI GLIKSMANÓWNY W BĘDZINIE. Dziękuję Ci za miłe przypomnienie. Pozdrów p. S. Lewiównę.

DO STANISŁAWA CIEŚLI W SMYKOWIE MAŁYM. Czy biblioteka szkolna, z której korzystasz, składa się z większej ilości książek?

PLÓMYK

Tygodnik
ilustrowany dla dzieci i
młodzieży



W kuźni.

Choć to praca, choć to znój —
młodą duszę woła kuj.

Kuźnia i w dzień i wieczorem wygląda czarodziejsko.

Dokonywa się w niej jakaś praca tajemnicza.

Wielki miech oddycha ciężko, pośpiesznie i wyrzuca fale powietrza, podnieca płomień ogniska.

Na ognisku kawał żelaza rozpala się do purpury, zdaje się być sam płonącym ogniem.

Bierze go kowal wielkimi szczypcami, kładzie na kowadło, podnosi wielki młot, czeladnik chwyta za młot drugi i kują.

Jaki śliczny dźwięk, czysty i wesoły, wybiega z kuźni i radośnie nosi się polami.

Iskry — jak rój pszczoł złotych — zrywają się z pod młota i giną w tajemniczej głębi kuźni. Bryła żelaza pokornieje. Kowal wykuwa kształt, jaki chce. Tylko jego woła tu rządzi.

Ryszard stoi na progu i patrzy.

Oczy mu płoną, piersi oddychają radośnie. Mimowoli ściska pięści i prostuje ramiona. Jest młody i silny. Czuje, jak ta siła w nim kipi, jak ręce rwą się do tego młota, który z twardej bryły wykuwa, co chce — co chce silny i mądry człowiek.

W co przeobrazi się ta bryła jeszcze nieforemna?

Może to będzie krzyż przydrożny?

Może krata, która ustrzeże wielkie skarby, aby nie stały się łupem złego człowieka?

Może podkowy, które poniosą rączę kopyta „za wielki dunaj, na wojenkę daleczką?”

Może lemiesz, co wyorze chleb dla wielu głodnych ust?

Ryszard wpatruje się w jarzącą bryłę. Przeleżała miliony lat w głębi ziemi, przez tysiące wieków skupiała swe siły — a teraz w pokorze posłuszeństwa zwiąja się, jak bezsilny listek. Wpatruje się chłopak w szybkie, silne tętno młota, który wyczarowuje z żelaza to, co mu każe wyczarować człowiek.

I w tej chwili, z jakichś niewiadomych głębin pamięci chłopca wstaje przeczytany gdzieś dwuwiersz:

— Choć to praca, choć to znój —
młodą duszę wolą kuj.

Czyż silna i mądra wola nie może duszy, gorącej w porywach młodości, przekuć na taki kształt, jaki chce?

Ryszard w tej chwili coś postanawia. Oczy mu błysnęły, postąpił krok naprzód.

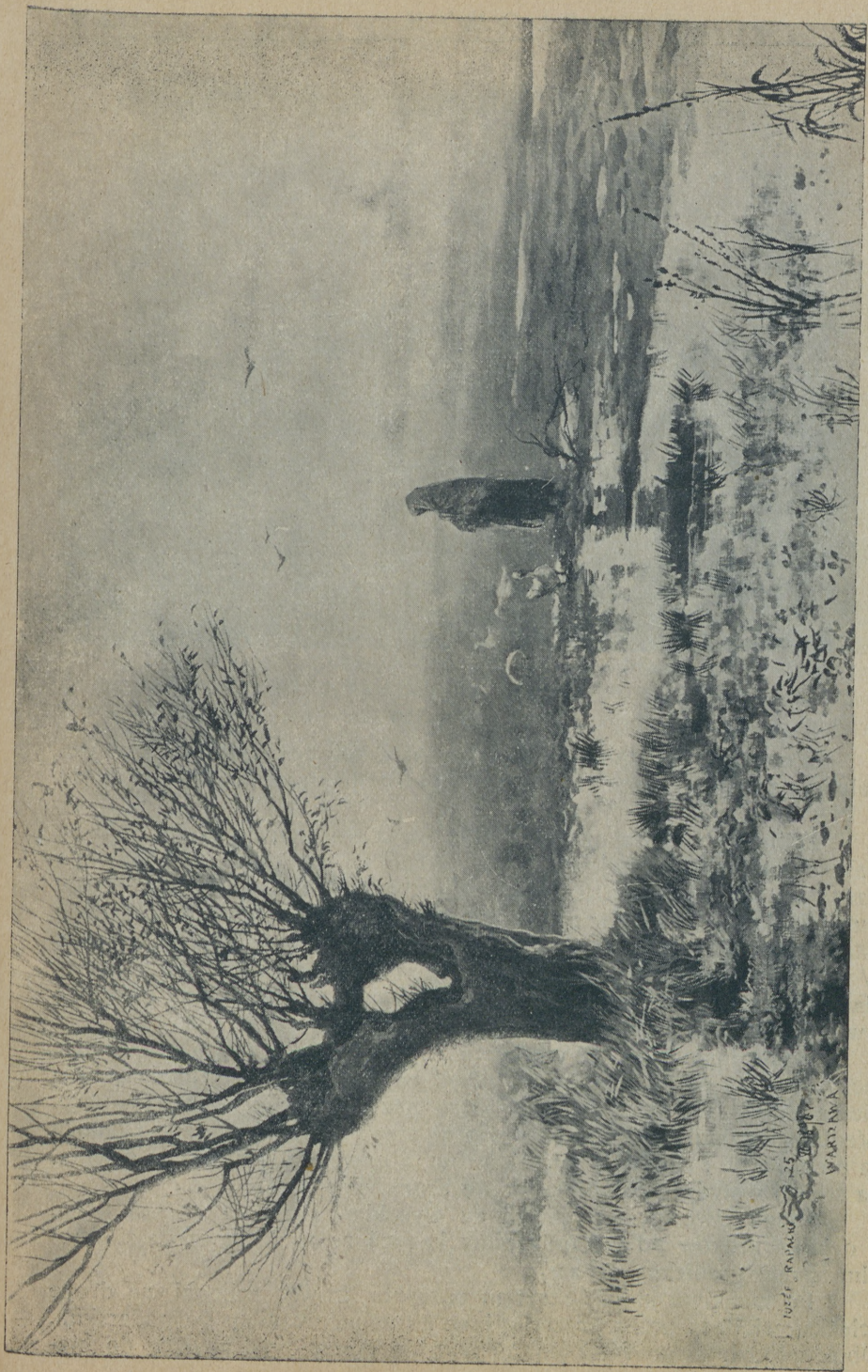
— I ja będę kowalem!

J. P.

Jesienią.

Oj, snuje się mgła przestrzeni...
Oj, snuje się mgła!
A na łąkach, na ścierniskach
błyszczą rosy łza.
Słoneczniki w kwiecie stoją,
w złocie kąpią liść.
Ej, poszłyby prosto w słońce,
gdyby mogły iść.
Lecz nie mogą, więc się kręcą
za słoneczkiem w krąg
i podnoszą w nieba błękit
las liściastych rąk.
Po ścierniskach pajak przędzie
srebrno-białą nić,
przędzie, przędzie, co upzędzie,
wicher porywa wić.
Hej i niesie, niesie wici
gdzieś, w bezkreśną dal...
Już minęło piękne lato,
żał dni pięknych, żał!
Idzie jesień żałośliwa,
w deszczu, w sinych mgłach,
idzie w krótkich dni pomroce,
w długich nocy snach.
A gdzie przejdzie, złote liście
lecą, lecą, lśnią...
A gdzie przejdzie, to o zimie,
ludzkie serca śnią.

M. CZESKA-MĄCZYŃSKA.



Mal. J. Rapacki.

JESIEŃ.

O szkole w Dworku Cisowym.



CISOWY DWOREK.

We wrześniu rozpoczął się nowy rok szkolny w Dworku Cisowym. Daleko, na południowym krańcu Rzeczypospolitej stoi ten Dworek jasny w Pieninach, nad Dunajcem.

Zanim Wam o szkole w Dworku opowiem, rzućcie okiem na dużą mapę Polski i wyszukajcie miejsce, gdzie się znajduje. Od Nowego Targu na wschód znajdziecie Czorsztyń, a o 4 klm. dalej, tam, gdzie Dunajec skręca na południe, tworząc granicę Czechosłowacji, leżą dwie ostatnie polskie wioski na skraju Spiżu: Sromowce Wyżne i Niżne. W ślicznym zakątku Wyżnich wznosi się na słonecznym wzgórzu drewniany Dworek w podhalańskim stylu, nazwany „Cisowym”, na pamiątkę Dworku św. Kingi, stojącego ongiś na pobliskiej górze Cisowcu.

Wiele historycznych wspomnień i pięknych legend o św. Kindze łączy się z tą okolicą, w której przed nawałą tatarską szukała schronienia. Stąd też pochodzi pierwotna nazwa wiosek — Schronowce. Według podania, zalane zostały wioski przed wiekami wodami Dunajca za nieprawość i chciwość mieszkańców, a nowe, dalej powstałe osiedla, na srom i wstyd do dziś dnia nazwę Sromowiec noszą.

Przed Dworkiem powiewa na wysokim drzewcu polska flaga, a o kilka kroków od werandy biały kamień ze znakiem czechosłowackim strefę graniczną oznacza.

Po zielonym stoku, okrytym puszystą trawą, schodzi na drogę ścieżka, wiodąca przez obszerną łąkę ku zabudowaniom gospodarskim. Obok młodziutkiego sadu jest tu plac do gier i dużo miejsca do bie-



ODRABIANIE LEKCJI NA ŚWIEŻEM POWIETRZU.

gania. Nieco dalej szumią wśród kamieni przejrzyste wody Dunajca. Teraz buduje się nad rzeką nowy dom dla celów wycieczkowych i kulturalnych potrzeb wsi. Na rozległym zboczach, obok Dworku leży duży ogród warzywny, skąd śliczny widok na Tatry.

Wiele kwiatów, krzewów i młodych drzewek wokoło — wszystko młodziutkie, bo sam Dworek dopiero od dwu lat jest zamieszkały, a przed trzema laty kładziono kamień węgielny pod budowę! Pomagały przy tym młode ręce harcerzek, bo to siedziba Szkoły instruktorek harcerskich, nosząca nazwę „Szkoły Pracy Harcerskiej”.

Oprócz działów gospodarstwa, ogrodu, ambulatorjum istnieje dział pedagogiczny. Jest nim właśnie „Szkoła Nowego Typu”, uwzględniająca nowe sposoby wychowania dzieci.

Mieszka tu więc kilka harcerzek i kilkanaścioro dzieci, przechodzących kurs nauk w zakresie ostatniej klasy szkoły powszechnej i niższego gimnazjum. W tym roku było ich dwanaścioro z różnych stron Polski, chłopcy i dziewczynki, przeważnie w wieku od 9-ciu do 11-tu lat. Młode, pełne zapału nauczycielki uczyły dzieci samodzielnego myślenia, obserwując zdolności i zamiłowania każdego z nich.

Spojrzawszy na załączoną fotografię, widzimy po lewej stronie na parterze dwa okna narożnej klasy, widnej i wesołej, z pozastawianymi stoliczkami i krzesłami. Pod oknami półki podzielono przegrodami z szalką na dole na zeszyty, książki i drobiazgi. Tutaj też mieści się biblioteczka. Na ścianach, obok map i rysunków dzieci bardzo pomysłowy plan dyżurów. Ponieważ każde z dzieci ma co tydzień inny dyżur, jak utrzymywanie porządku w klasie, jadalni, sypialni, łazience i t. zw. „bucikarni”, więc na rozkładzie narysowały, obok imienia dyżurnego, symbol jego czynności, jako to: szczotka, wanna, nóż i wide-

lec, bucik i inne. Jednym z ważnych dyżurów jest zbieranie i zapisywanie systematyczne obserwacji meteorologicznych. (W Dworku istnieje Stacja Meteorologiczna).

W prawym narożniku mieści się jadalnia o ścianach z jasnego drzewa i oryginalnych krakowskich sprzętach. Stół, ława, półka, skrzynia, malowane w kwiaty, są darem krakowskich harcerzek.

Tutaj stoi fortepian, odbywają się lekcje muzyki i ćwiczenia, rytmiczna gimnastyka i tańce. W lecie przenosi się jadalnia na obszerną werandę, w upały nawet pod gołe niebo.

Na piętrze są białe sypialnie, pełne słońca. Środkowa sypialnia, gdzie mieszkają dziewczynki, urządzona jest po łowicku przez harcerki z Łodzi. Barwne pasiaki, t. j. kilimy w pasy, na łóżeczkach, u sufitu ogromny pajak ze słomy i kolorowej włóczki.

Dzień zaczyna się dla dzieci świstkiem o godzinie 7-mej. Po chłodnej kąpeli i pożywem śniadaniu — czas, przeznaczony na zrobienie porządków, modlitwa i lekcje. Nauka trwa do południa z przerwami, spędzaniem na wolnym powietrzu. W ciepłe dni klasa się wyludnia a uczniowie grupują się na dworze ze swimi łatwo przenośnymi stolikami.

Po obiedzie krótki odpoczynek i zależnie od pogody przechadzka w śliczne, bliskie góry, gry nad rzeką lub na werandzie. Po podwieczorku półtorej godziny rozłożone między lekcje muzyki, śpiewu chóralnego, rysunków, gimnastyki rytmicznej, ciepła kąpiel, wczesna wieczerza i jeszcze trochę wolnego czasu do 8-mej, t. j. do pójścia na spoczynek. Bywają wtedy, zależnie od pory roku: tańce, słuchanie radja lub palenie ogniska w ogrodzie.

Wobec doskonałych warunków korzystały dzieci dużo ze sportów zimowych. Uczyły się jeździć na nartach i łyżwach, młodsze używały jazdy na saneczkach. Cudna okolica nadaje się świetnie do łatwej turystyki. To też zwiedziły dzieci różne piękne miejscowości, do których latem zjeżdżają się ludzie ze wszystkich stron kraju. A więc Czorsztyn z malowniczymi ruinami zamku, wspaniały zamek w Niedzicy, Krościenko, do którego prowadzi śliczna, leśna droga górami, Czerwony Klasztor na czeskiej stronie z przeprawą przez rzekę. Prawdziwie górską wycieczką było wejście na szczyt Trzech Koron (900 m.), a bardzo ciekawą i niezwykłą wyprawa łodziami przez słynny z piękności przełom Dunajca.

Ulubionym letnim sportem była kąpiel rzeczna i nauka pływania, a jedną z najmilszych zabaw budowanie portów i fortec na piaszczystym wybrzeżu i puszczanie statków i łodzi własnej budowy.

Dzieciarnia wyglądała po tych wodnych, słonecznych i powietrznych kąpielach doskonale.

Prócz turystycznych, odbywały też dzieci wycieczki zoologiczne, botaniczne i inne. Urządziły terrarium i akwarjum, gromadziły ciekawe okazy skamielin i odcisków z odległych epok geologicznych, w które obfitują skały. (Jedną z osobliwości jest w Czorsztynie skała z różowego wapienia, jedyna podobno w Europie).

Oprócz szkolnych przedmiotów i ćwiczeń fizycznych, uczą się dzieci w Dworku wielu innych rzeczy, a więc usługiwania sobie, wykonywania samodzielnie i porządnie różnych czynności codziennego życia, odpowiedzialności za powierzoną pracę, czynnej pomocy bliźnim, porządku.

Bardzo skutecznym sposobem na rozrzucanie i gubienie drobiazków, książek, chustek i t. p. jest „zajmowanie”. Ktokolwiek napotka taki zbłąkany przedmiot, ma prawo go zająć i złożyć w oznaczone miejsce. Właściciel musi go wykupić za kilka groszy, a uzyskaną sumką po dłuższym czasie dysponują dzieci wspólnie.

Zaznajamiają się też dzieci z praktycznymi umiejętnościami, jak hodowlą roślin w małych ogródkach, stolarką, gotowaniem, uczą się prowadzić książeczki rachunkowe.

Wśród prawdy, prostoty, pogody, współzycia z przyrodą i ochotnej wspólnej pracy, pojętej, nie jako nudny obowiązek, ale, jako radość tworzenia, rozwijają się młode istoty, jak kwiaty w słońcu.

Twórczynią i duszą Dworku jest niezwykła pod każdym względem postać — znana pierwsza harcerka w Polsce, pani Olga Małkowska-

T. Zubrzycka.

Piotr Plusz.

Dokończenie.



Brodawkiewiczowa westchnęła i oczy wzniosła do góry...

W tej chwili zjawiła się z pod ziemi cała rodzina Pluszów. Na przodzie Piotr Plusz, za nim jego małżonka, a na końcu — troje Plusząt. Wszyscy oni skierowali swe małe oczki na łąkozawcę i z ciekawością mu się przyglądali.

Piotr Plusz znacząco i porozumiewawczo mruknął:

— Widzicie, oto jest właśnie skoczyląka, Pankracy Niespodziany.

Wspominaliśmy już powyżej, że Piotr Plusz był nieokrzesanym prostakiem.

Łąkoznawca tym razem podniósł swe długie wąsy do góry.

— Powiedz-no, z łaski swojej, otwarcie, — zwrócił się doń Piotr Plusz — pomimo swego suchotniczego i odrapanego wyglądu, jesteś pan chyba jadalny?

Magister Pankracy Niespodziany zbladł! Twarz jego, zwykle ciemnozielona, stała się raptem — bladożółtą, a długie swe wąsy skierował szybko ku przodowi, jakgdyby tym ruchem chciał uzyskać obronną pozycję. Wtem Piotr Plusz zasyczał: Naprzód! — i wszyscy Pluszowie rzucili się na długonogiego łąkoznawcę.

Pankracy Niespodziany nieoczekiwanym i silnym rzutem przeskoczył błyskawicznie przez Piotra Plusza, panią Pluszową i troje małych Plusząt, a rodzina Pluszów, zderzywszy się wzajemnie nosami, straciła go z oczu.

Tak nieoczekiwanie zawstydzony wobec żony i dzieci Piotr Plusz wpadł w pasję, zaczął parskać i syczeć,

— Papo! Gdzie się podział ten obszarpany konik? — pytały się małe Pluszeta.

— Schował się pod ziemię, a gdzieżby gdzieindziej mógł być? — rzekła pani Paulina Pluszowa i bezradnie spojrzała na małżonka, jakgdyby pytając: co robić dalej?

— Ryc! — wrzasnął Piotr Plusz i cała rodzina Pluszów szybko znikła pod ziemią.

— W życiu rzeczą najważniejszą jest szybkość! Ja to twierdzę zawsze i bezustannie — rzekł przyklepiony do stóp murowanego ogrodzenia Ślimak, pan Idzi Łazęga Pośpieszny. — Jeżelibym oto w tej chwili nie uciekł tak samo szybko, jak ów długonogi konik, to bezwątpienia Piotr Plusz kończyłby obecnie dogryzać resztki ciała mego.

Zadowolony z siebie, jak nigdy dotychczas, przesunął się po ścianie o jeden milimetr naprzód, nie domyślając się zupełnie, że Piotr Plusz wcale go nie zauważył.

Nastała noc, a rodzina Pluszów pilnie ryła pod ziemią, mając nadzieję znaleźć w końcu — zacnego, choć chudego, uczonego łąkoznawcę, Pankracego Niespodzianego...

— Wielu ślęczy i marnuje czas pod ziemią, chcąc znaleźć to, czego szukać należy na jej powierzchni! — rzekła wielce mądra i doświadczona pani Sybilla Brodawkiewiczowa.

— Tak, panie Plusz, rycie ciągle pod ziemią do niczego nie doprowadzi: istnieją bowiem dwa światy: jeden pod ziemią, a drugi na jej powierzchni... Chociaż, być może, że istnieje ich jeszcze więcej...

Poważna i mądra pani Sybilla Brodawkiewiczowa westchnęła i oczy wzniosła do góry. Gwiazdy zapalały się nad nią...

Według oryg. niemieckiego.

Z życia bułgarskich dzieci.

W góry!

Napisała Jadwiga Grudzińska.



KOBIETY BUŁGARSKIE W STROJACH LUDOWYCH.

Codziennie zrana, gdy mały Christo otwierał w swem łóżecku zaspane oczęta, pierwsze jego spojrzenie padało przez okno na pobliskie góry „Witosza”, które szerokiem pasmem okalają od zachodu stolicę Bułgarji — Sofję.

Był to niezrównany i coraz to inny widok! Gdy dzień był pogodny i jasny, góry stawały się całkiem różowe i tak bliskie, że wystarczyłoby chyba wyjść na balkon, aby ich ręką dosięgnąć. Po zboczach snuła się delikatna, liljowa mgła, a przecież, jak na dłoni, różnic można głębokie, skaliste rozpadliny i białe, u stóp gór rozrzucone, żołnierskie namioty i szeroką drogę, wiodącą do Dragolewskiego monasteru¹⁾. W dni pochmurne Witosza otulała się w szarą wełnę chmur tak szczelnie, że zaledwie ciemniejszym na ich tle odznaczała się zarysem. Od czasu do czasu zapalały się na jej szczycie ognie błyskawic, a głuchy warkot grzmotu odbijał się od skalistych ścian tysięcznym, groźnym echem. Wiosną, z jednostajnie szarej stawała się coraz barwniejszą i bledszą, pokrywała się zieloną sukienką, a biała czapeczka ze śniegu na Czernym Werchu z dniem każdym malała, aż wreszcie

¹⁾ Klasztoru.

znikała zupełnie. Zimą zaś Witosza odalała się od miasta. Wisiała w powietrzu, taka biała, roziskrzona w promieniach słońca, że mały Christo mrużył oczki i myślał o górach słodkiego, lśniącego cukru.

Christo pragnął bardzo zobaczyć zbliżone wszystkie te cuda.

Ojciec jego chodził często na wycieczki w góry, a wtedy wkładał grube, podkute, sznurowane buty, zarzucał na ramię dobrze wypchany plecak, brał do ręki długi, mocny kij i wychodził z domu wczesnym rankiem, gdy ledwie szarzało na dworze. Wracał zaś późno, gdy Christo już leżał w łóżeczku.

Buty ojca pokryte były wtedy grubą warstwą kurzu, twarz spalona od słońca, a włosy, broda i całe ubranie, przepojone jakimś słodkim, nieznanym zapachem, od którego małemu Christo mąciło się w główce i ogarniało go dziwne wzruszenie. Ojciec całował synka i składał na jego kołderce olbrzymi bukiet kwiatów takich, jakie nie rosły w ogródku. Na wiosnę były to fiołki i konwalje; latem cudne, liljowe storczyki, które podobne były do owadów, lub zwierzęcych pyszczków, a wreszcie jesienią delikatne, blade-lila „karanfily”¹⁾, rozstrzępione i leciuchne, jak koronka.

— Iskam da otida w planinata, mamu²⁾ — prosił nieraz Christo swoją mamusię.

Lecz mamusia uśmiechała się łagodnie i, gładząc synka po czarnej głowinie, mówiła:

— Oszte si mnogo małyk, synko. Poczekaj małko!³⁾

I Christo czekał cierpliwie i co dnia posyłał tęskne spojrzenie w stronę Witoszy.

Rósł tymczasem zdrowo, był żwawy, silny i wesoły. Jesienią zaczął chodzić do szkoły.

Aż latem, pewnego dnia, rzekł do niego ojciec:

— Utre, synko, szte otidesz s men w planinata, na Witosza⁴⁾.

Serduszko Christa zatrzepotało w piersi, jak ptaszek. Rzucił się na szyję ojcu i matce, a potem wybiegł na podwórko, gdzie wierny jego towarzysz, Barborko, spał pod cieniem winorośli. Chwytał go za przednie łapy i, patrząc zbliżone w zdziwione psie oczyska, krzyknął z całej siły:

— Szte otidem w planinata, Barborko! Utre szte otidem!

Pies liźnął chłopca po twarzy i szczeknął głośno, jakby rozumiał i podzielał jego radość. Tegoż dnia mama kupiła dla Christa parę wygodnych, sznurowanych bucików, a ojciec wyciął dlań w ogrodzie gruby, mocny kijaszek.

Zaledwie szarzało na dworze, gdy Christo wyskoczył już z łóżeczka. Rzucił spojrzenie na Witoszę. Stała zadumana, spowita w mgły, daleka i tajemnicza. Wypił śniadanie, ojciec zarzucił plecak, pożegnali się z mamusią i poszli.

Głucho stukają po bruku bezludnych ulic okute ich buciki. Ale

¹⁾ Polne goździki.

²⁾ Chciałbym pójść w góry.

³⁾ Jeszcze jesteś bardzo mały, synku. Poczekaj trochę.

⁴⁾ Jutro, synku, pójdziesz ze mną w góry, na Witoszę.

zato w śródmieściu, przy stacji tramwajowej, co za ścisk! Młodzieńcy i dziewczęta, „momczeta i momiczeta”, w dużych, skautowych kapeluszach, starsi i młodszy z plecakami na grzbiecie, wszyscy cieną się do tramwaju, który ma ich zawieźć do Książewa, dużej podmiejskiej wsi, skąd już wszystkie wycieczki wyruszają dalej pieszo w góry.

Poszli tedy i mały Christo ze swoim ojcem. Z początku droga była wygodna: wspiniała się łagodnie przez niewielki lasek sosnowy, później prowadziła przez pole, zasiane owsem i jęczmieniem. Christo chciał się zatrzymać, aby zbierać prześliczne bławatki i złociste dziewanny, których tak dużo rośnie po miedzach, ale ojciec popędział go, mówiąc:

— Chajde, synko! Chajde! Dałyk pyt' ni czaka. Da wyrwim! ¹⁾).

Więc z a c z ę l i się wspinąć po skalistej drodze, wciąż w górę, w górę...

Po obu stronach rosły niewielkie, krzaczaste drzewa, a w pewnym miejscu trafili na gęste zarośla dzikich malin, których pachnące, słodkie jagody orzeźwiły Christa.

Wreszcie doszli do potoku, który po dużych kamieniach spadał z gór, burzył się i szumił, a wodę miał przejrzystą, jak szkło i jak lód zimną. Tu spoczęli.

Łagodny, rzeźki wietrzyk owiewał im rozpalone czoła i szeleścił tajemniczo w zaroślach. Naokoło nie było widać nic, prócz drzew i szarych głazów. Christo rozejrzał się rozczarowany.

— Tato, a de sy cwetiało? De karanfilytie? ²⁾).



CHRISTO NA OSIÓLKU.

¹⁾ Dalej, synku! Dalej! Długa droga nas czeka. Spieszmy!

²⁾ Gdzie są kwiaty, tatusiu? Gdzie goździki?



SUSZARNIA TYTONIU W BULGARJI.

— Ponagore, synko, ponagore ¹⁾.

Christo wzniosł główkę do góry. Powyżej ujrzał znów tylko skały i krzaki, a nad nimi szafirowe niebo bez chmurek. Na jego tle, jak mały, ciemny punkcik, kołysał się jakiś ptak nieznany.

W pierwszej chwili jakaś słodka muzyka oderwała się z nieba. Jakby ktoś delikatnie uderzał w srebrzyste cymbałki. Jedne tony były wysokie i drżące i ćwierkały raz po raz, jak ptaszki przed zaśnięciem, drugie uderzały poważnie i zrzadka, jak dzwony cerkiewne.

— Szto je towa, tato? Kakwo je taja muzyka? ²⁾.

— Towa sy zwoncy na stada ³⁾.

To pasterze zawieszają dzwonki na szyjach krów i owiec, aby je łatwiej odszukać, gdy się w gąszczu leśnym odbiją od stada.

— Szte widim li towa stado, tate? ⁴⁾.

— Szte widim, synko, ponagore ⁵⁾.

— I karanfiły?

— I karanfiły ⁶⁾.

Dokończenie nastąpi.

¹⁾ Powyżej, synku, powyżej.

²⁾ Co to jest, tato? Co to za muzyka?

³⁾ To są dzwonki stad.

⁴⁾ Czy zobaczymy to stado, tato?

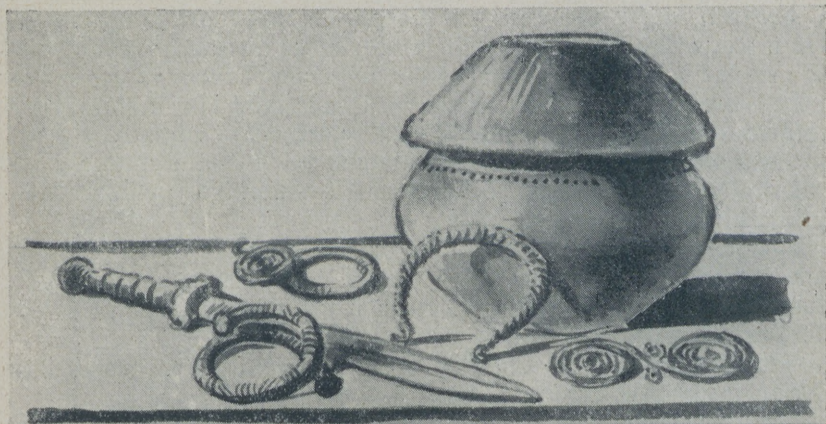
⁵⁾ Zobaczymy je, synku, powyżej.

⁶⁾ I polne goździki?

6) Skarby piaszczystego wzgórza.

Napisała Marja Gerson-Dąbrowska.

Dokończenie.



MIECZ, OZDOBY I POPIELNICA.

Za temi dwoma dniami poszukiwań poszedł cały szereg dalszych. Natrafiono jeszcze na parę grobowców, obłożonych tak samo kamieniami, to znów w innych miejscach na popielnice, zakopane zupełnie osobno, albo po dwie, trzy obok siebie. Były i maleńkie popielnice, ładnie ozdobione, widocznie służyły do składania popiołów zmarłych dzieci, była i czara jakaś na czterech nóżkach i rodzaj dwojaków złączonych u podstawy.

Wieczorami dobierano kawałki potłuczonych lub uszkodzonych naczyń i pan Liwski wraz z dziećmi sklejał je ostrożnie i starannie.

— To daleko zabawniejsze, niż wszystkie łamigłówki — dowodziła Marychna, najgorliwsza i niestrudzona pomocnica ojca.

Po paru tygodniach cmentarzysko było sumiennie przekopane wzdłuż i wszerz i nic już więcej spodziewać się nie było można.

— Więc to już koniec — mówi smutnie Marychna, siedząc nad dołem, z którego dobywano ostatnie kamienie. — Tatku, co to za szkoda, że to już koniec! Chciałabym być archeologiem. Czy też w wielu miejscach u nas w Polsce są takie cmentarzyska?

— W bardzo wielu. Tylko, że ludzie o tem nie wiedzą tak samo, jak i ja nie wiedziałbym, gdyby nie ta przypadkowo znaleziona bransoleta.

Marychna na te słowa czerwieni się po uszy. Wstyd jej teraz bardzo tego dziecinnego pomysłu szukania złota w ziemi.

— W bardzo wielu miejscach naszego kraju — ciągnie dalej tatuś — znajdują się podobne zabytki. Wiele z nich zniszczono przez nieświadomość, albo częściej jeszcze przez chęć doszukania się cennych przedmiotów we wnętrzu takich oto popielnic. Wiele jednak oca-

łało i starannie odkopane ozdabiają nasze muzea w Krakowie, Poznaniu...

— A w Warszawie czy są takie starożytności, tatku?

— A jakże. Przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa jest oddział archeologiczny, gdzie zobaczycie popielnice, bransolety, toporki, zupełnie podobne do naszych. Ach, gdyby to ludzie lepiej się znali na takich rzeczach, dużo, dużo jeszcze ciekawych zabytków możnaby wynaleźć u nas w kraju! Wiele osób, przebywając na wsi, mogłoby wielką usługę oddać archeologii, dając znać naszemu Towarzystwu ochrony zabytków lub Muzeum narodowemu*), iż na ślady takich starożytności natrafiono, chroniąc je w ten sposób od zniszczenia i zagłady.

Ostatnie okazy popielnic przeniesiono do domu, wybrano starannie najdrobniejsze skorupki i kosteczki i wszystko umieszczono na umyślnie urządzonych półkach.

— Wam to zawdzięczam, moje dzieci — rzecze tatuś, przyglądając się z dumą swoim zbiorom. — Gdyby nie wasze zabawy na górce, możebym nigdy o ukrytych tam skarbach nie wiedział. Ale powiedźcie mi też, czegoście tam szukali w tym piasku?

Marychna patrzy na Staszka, Staszek na Marychnę, wstyd im się przyznać. Wreszcie chłopiec bierze na odwagę.

— A to, tatku, było tak... — i opowiada całą historję poszukiwania skarbu.

— No, i znaleźliśmy go, nieprawdaż? — mówi tatuś, biorąc Marychnę za rękę i patrząc jej w oczy. — A może żałujesz, że to nie złoto i klejnoty?

— Och, nie, tatku, wcale nie, wcale! Nigdy nie zapomnę tych paru tygodni i tych naszych poszukiwań, i wiem teraz, że to, cośmy odkryli, to także skarb wielki — dla nauki.

7)

Wesoła gromada.

Opowiadanie z życia szkolnego.

Napisała Janina Porazińska.

Zaczęło się głosowanie. Dużo było mitręgi, bo na co kto miał większą ochotę, na to podnosił obie ręce. Mańka za każdym razem wołała: „I ja!” i głosowała na wszystko. Ale się wkońcu dogłosowano: na „wycieczkę”.

Więc pani tak powiedziała:

— Proponuję zbierać pieniądze na wycieczkę do Zakopanego. Czy jest kto przeciwko temu?

— Niema!

— Nikogo niema przeciw!

— Wszyscy chcą do Zakopanego!

*) Warszawa, Rynek Starego Miasta, dom Baryczków, albo Podwale 15, Muzeum Narodowe.

— Wszyscy!

— I ja! I ja!

Dzisiaj Mańka miała niedobry dzień, wciąż się musiała z czemś takim wyrwać, że cała klasa aż pękała z niej ze śmiechu.

Mańka, to ta, która wszędzie chce być i wszystko chce robić. Nie dlatego, żeby była taka do roboty ochotna, ale, że jest okrutnie wścibska.

Zaczęło się już od rana. Przed lekcjami pani mówi:

— Może też które z was mi przyniesie...

— Ja! Ja! — krzyczy Mańka i buch! wyskakuje z klasy.

Dopiero na podwórku zmiarkowała się, że nie wie, o co chodzi i wróciła do klasy, a w klasie dzieciaki już tak się z Mańki śmiały, że aż się kładły na ławkach.

Bo pani chciała, żeby jej w niedzielę, gdy pójdą do Makowa na nabożeństwo, przynieść od pani aptekarzowej katalog ze sztukami do grania w teatrze.

Teraz znów zaczął się wielki gwar i szum o ten teatr. Dzieciaki nuż się do pani cisnąć i pytać: a co będą grały, a kiedy, a gdzie, a jak?

Ale pani nic a nic nie chciała teraz mówić, obiecała powiedzieć dopiero po drugiej niedzielę, gdy już będzie miała sztukę do grania.

Musiały się więc dzieciaki uspokoić.

Dalszy ciąg nastąpi.

Jak Ania ćwiczenie pisała.

Obrazek sceniczny w 1 odsłonie.

Napisata Alina Kwiecińska.

Dokończenie.

SCENA V.

ANIA, potem LIŚCIE.

ANIA (w zamyśleniu):

Może prawdę mi mówiły...

Mają rację... rzeczywiście...

(Wbiegają LIŚCIE. Kilka lekkich, zręcznych dziewczynek w krótkich sukienkach, na głowach wieńce z liści).

ANIA (wstając):

A tam kto znów? Boże miły,
Jakie ładne złote liście!

(LIŚCIE przebiegają scenę w takt muzyki, chyląc się na dwie strony, jakby gnane wiatrem, potem stają na środku sceny).

LIŚCIE (z rytmicznym ruchem rąk mówią wyraźnie w takt cichutkiej melodji za sceną):

Kiedy zwiedną barwne kwiaty,
To rozpaczy pełnym ruchem
Jesień rwie z żalości szaty,
Rwie za wiatru, hej, podmuchem...

Leci w strzępy purpurowy
Płaszcz, co mienił się złociście...
Wtedy ludziom wciąż na głowy
Sypią się z szelestem liście.

A człowieka gdy smutnego
Spotka listek oderwany,
Chce udawać wesołego
I z wietrzykiem idzie w tany!

Kraży, kraży długą chwilę,
Choć go boleść gna okrutna...
Liście tańczą, jak motyle,
By nie była Jesień smutna...
(Za sceną melodia zmienia się, LIŚCIE zaczynają śpiewać).

LIŚCIE (pląsając):

Hej, hej, jesienia
Drzewa się mienia
Złociście.

Hej, hej, wesoło,
Pląsajmy wkoło,
Hej, Liście!...

Hej, ha! Z szelestem,
Z radości gestem
Krążymy!

Hej, wraz z wietrzykiem,
Wielkim psotnikiem
Tańczymy!...

(Chwilę tańczą. Może jedno zdolniejsze dziecko wykonać samo kilka lekkich ruchów przy akompaniamencie za sceną. Wtedy inne LIŚCIE podtrzymują takt ruchem rąk. Muzyka przestaje grać, LIŚCIE w popłochu wybiegają, światło gaśnie, na scenie półmrok).

SCENA VI.

ANIA, potem MATKA.

ANIA (*przeciera oczy*):

Znikły... Ciemno się zrobiło...

Gdzie ja jestem?... Tu, przy oknie...
Jako? Co to? Co to było?

(Podchodzi do stołu):

Pióro w atramentie moknie...
Kajet, książka jest ta sama...
Prawda... siadłam do pisania,
Ale kiedy wyszła Mama...

MATKA (*wchodzi*):

No, i cóż porabia Ania?
Co tak ciemno? Śpisz, córeczko?

(Zapala światło).

ANIA.

Ogarnęło mnie marzenie,
Chyba śniłam...

(Podbiega):

Już, Mateczko,

Wiem, jak pisać mam ćwiczenie.

(Zastona spada).

Objaśnienie do obrazka scenicznego: „Jak Ania ćwiczenie pisała”.

Urządzenie sceny do niniejszego obrazka scenicznego nie przedstawia żadnych trudności. Jest to wnętrze zwykłego pokoju, drzwi w głębi lub po prawej albo lewej stronie. Po stronie przeciwległej od drzwi bocznych — stolik, na nim książki, zeszyty, kałamarz. Stolik musi stać z boku, żeby nie przeszkadzał swobodzie ruchów wchodzących postaci. Po za stolikiem trzeba do pokoju wstawić trochę mebli, obrazki zawiesić na ścianie.

Ania, ubrana w codzienną sukienkę, raczej ciemną, niż jasną, Mama w płaszczu i kapeluszu, ubrana, jak do wyjścia.

W postaciach owoców i kasztanów główną rzeczą będzie ukostjumowanie głów, ubranie ich w duże kółpaki, naśladujące dany owoc.

Kółpaki trzeba zrobić z drutu i obciągnąć bibułą karbowaną, albo materiałem w odpowiednim kolorze. Gruszka żółto-czerwona, Jabłko czerwone, lub zielono-czerwone, Śliwka — granatowa. Owoce, które mają być trzymane w rękach, najlepiej zrobić z waty i obciągnąć bibułą karbowaną. Można je też wypchać gniecionym papierem, sianem, nadając formę za pomocą okręcenia nitką. Liście do owoców z bibuły karbowanej — z wklejonym w środek drutem. Sukienki odpowiednich barw z bibuły lub materiału.

Kasztany — całe ubranka brązowe, barwy dojrzałego kasztana. Najlepsze byłyby trykotowe. Na plecach i piersiach duże, zielone liście kasztana z papieru zielonego, okładkowego, podmalowane trochę wodnymi farbami, zwłaszcza żyłki trzeba wyraźnie namalować. Na głowie — obcisła, brązowa czapeczka, dochodząca prawie do brwi, i dwie zielone łupiny kasztana, zrobione z drutu, obciągniętego papierem zielonym. Kolce poprzyklejane do powierzchni a wyrobione z papieru w taki sposób: ćwiartka koła sklejona w rożek, brzegi dolne ponacinane, żeby można je było nakleić na łupinie. Na nogach zielone trzewiki.

Liście jesienne: zielono-żółte, żółto-czerwone, zielono-brązowe. Ubranka można dobrać do koloru liści, ale mogą też być np. czarne lub brązowe. Wielkie liście, zwieszające się na sukienkach, wyciąć z papieru okładkowego i podmalować wodnymi farbami. Tak samo trzeba zrobić liście mniejsze dla zrobienia wieńca na głowę. Jeżeli chodzi o podmalowanie liści, to w jesieni o modele nie trudno.

— Czemuż nie użyć naturalnych liści? — zapytacie. A oto dlatego, że liść świeży zwidnie i pozwija się, a zaszuszony — pokruszy, chyba, że np. wieńce porobimy ze świeżych liści nie wcześniej, jak na parę godzin przed przedstawieniem. Przystrojenie zaś sukienek drobnymi, zwykłymi liśćmi nie da nam pożądanego teatralnego efektu.

M. Gerson-Dąbrowska.

O żółdziowym człowieczku i o rycerzach kasztanowych.

Jaś siedzi przy oknie i czyta: o Maciusiu sierocie, jak wędrował po świecie szerokim, o rycerzach - olbrzymach, którzy strzegli granic królestwa, o królu walecznym i jego zamczysku warownem.

O szyby 'dzwonią wielkie krople deszczu, las szumi tajemniczo, w kąciку przy szafie Jędrus przesypuje kasztany i żółędzie. Ale znudziła mu się prędko ta zabawa; mamy w domu niema, deszcz pada, smutno. Wstaje cichutko, zbliża się do brata, obejmuje go rączkami za szyję i przytula kędzierzawą głowę do jego ramienia.

— Jasiu, pobaw się ze mną... Opowiedz, jaką czytasz bajeczkę.

Żal Jasiowi odłożyć książkę ciekawą, ale bardziej jeszcze żal braciszka.

— Dobrze, Jędrusiu, opowiem ci bajeczkę.

Usiadł Jasio w kąciку z zabawkami i zaczyna:

— Był wielki, stary las...

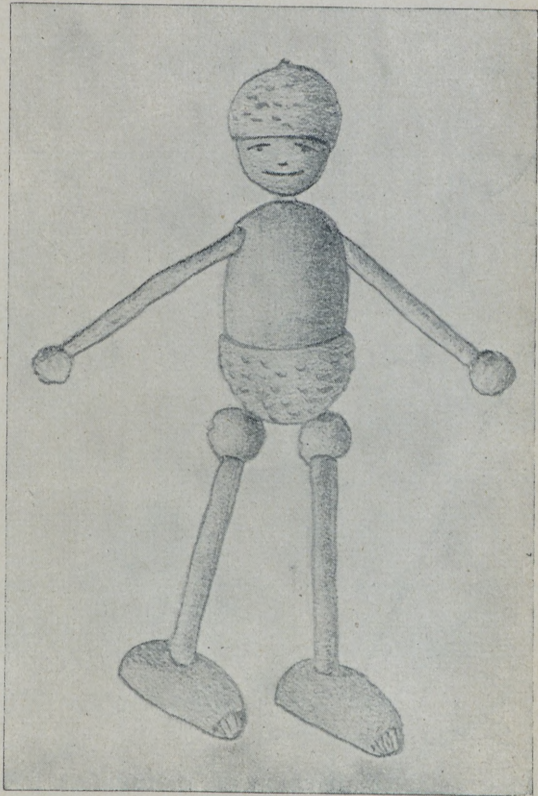
— Gdzie, Jasiu, jaki las? — pyta Jędrus.

— Zaraz, zaczekaj...

Zarzucił Jasio palto, raz, dwa, trzy, wyskoczył na dwór i przyniósł różnych drobnych gałązek: sosny, świerku, jałowca, zaostrzył końce, potem kasztany porozcinał na pół, wywiercił dziurki, włożył w nie gałązki i poustawiał.

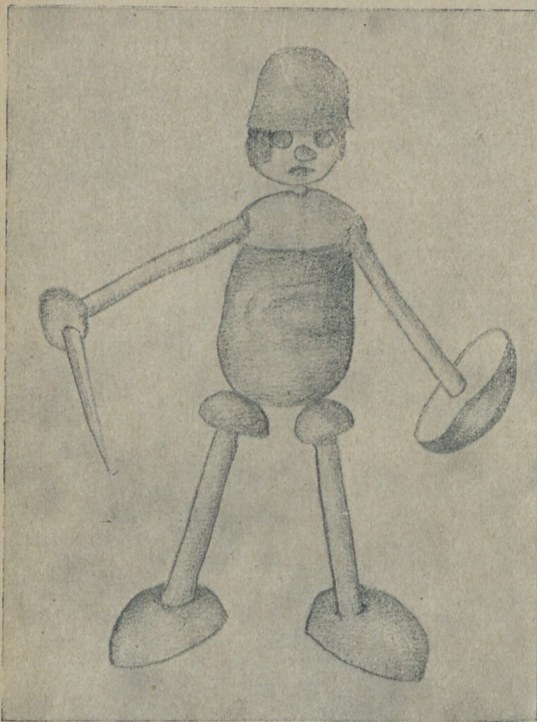
— Las, naprawdę las, jak nasz, tylko leśnicówki w nim niema — zawołał zachwycony Jędrus.

— W tym lesie nie będzie leśnicówki. Tutaj mieszka żółdziowy człowieczek.



ŻOŁĘDZIOWY CZŁOWIECZEK.

Wziął Jasio żołądź (z miseczką), naciął i narysował atramentem oczy, nos i usta. Wziął drugi, większy żołądź, kawałek zaostrej z obu stron zapalniczki, wbił w jeden żołądź i drugi i tak przyczepił głowę. Dwie zapalniczki wbił, jako ręce, dwie, jako nogi. Na buciki rozciął jeden żołądź i wbił na zapalniczki.



RYCERZ KASZTANOWY.

Szedł dzień jeden i drugi, aż trzeciego dnia wyszedł na polanę zieloną, gdzie rosły dziwne, nieznane drzewa. Zanim zdążył rozejrzeć się, gdzie jest, wyskoczyli nań rycerze kasztanowi.

Mówiąc to, Jasio wybrał kilka różnej wielkości i kształtu kasztanów. Okrągły kasztanek wziął na głowę. Naciął i usunął z niego skórkę, zostawiając tylko na włosach i ustach. Dwa goździki wbił na oczy, a kawałek zapalniczki na nos. Z drugiego kasztana, odpowiedniej wielkości, odciął przylepkę, z pozostałej części wykruszył całą zawartość białą i nasadził, jako hełm na głowę. Na tułów wziął duży, podłużny kasztan, u góry umieścił jeszcze część mniejszego kasztana, razem przebił zaostroszonym kawałkiem zapalniczki i na drugi, również zaostroszony koniec, wbił głowę. Na ręce wbił dwa patyczki. Jeden zakończył małym kasztan-

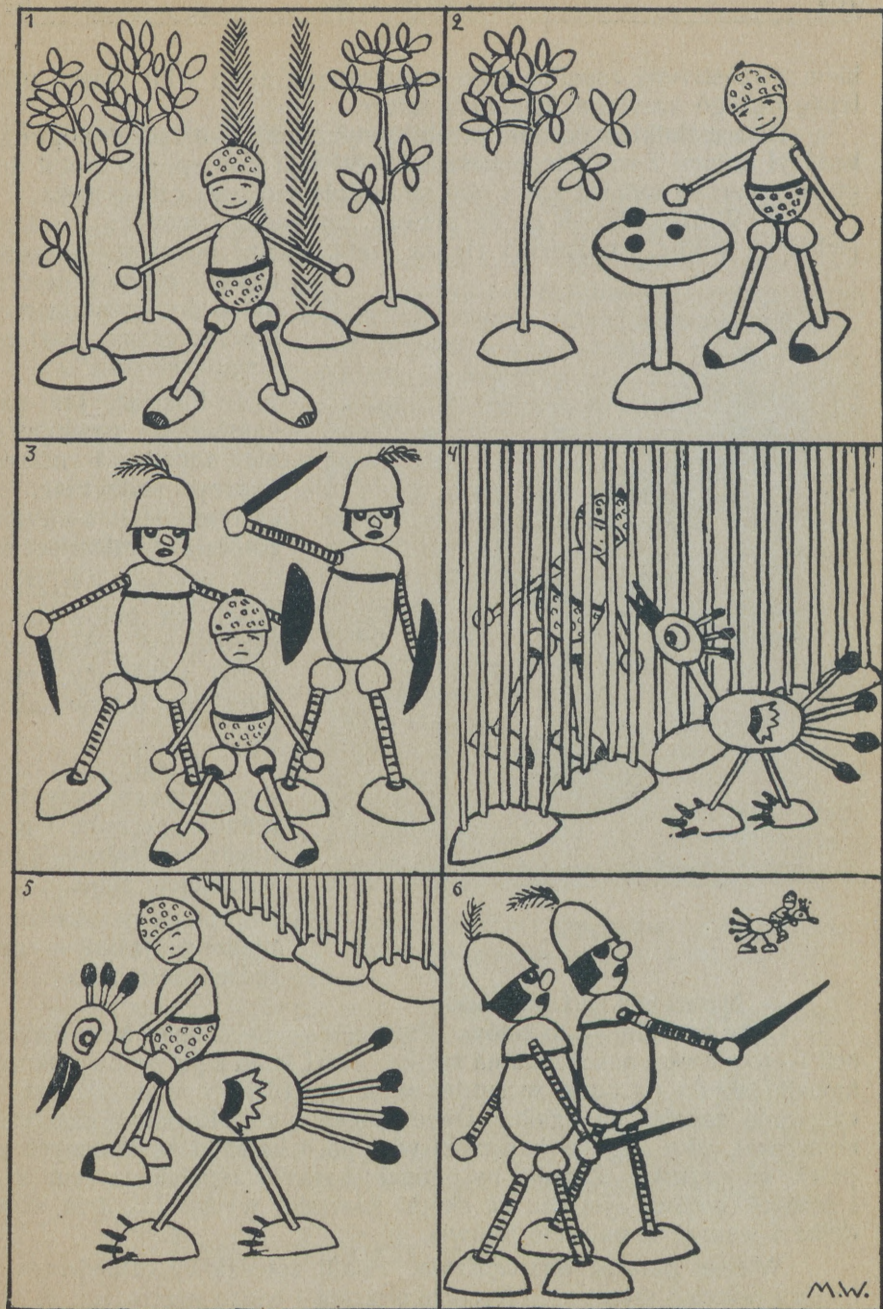
Jędrus aż klasnął w ręczki z radości, gdy Jaś postawił przed nim pajacyka na ziemi.

— Słuchaj dalej.

Dobrze było w lesie żołądziowemu człowieczkowi. Z mchów miękkich i liści ułożył sobie postanie, z grzybów zrobił stół i krzesła, jagody, poziomki i orzechy zbierał na pożywienie. Z motylami gonił się i bawił, mrówkom pomagał w ich codziennym trudzie, ptakom przynosił słomki i podściółkę miękką do gniazd i strzegł piskląt, gdy rodzice odlatywali szukać pokarmu.

Ale raz przyszła mu chęć poznać świat szeroki.

Napróżno ostrzegaly go motyle, odradzały ptaszki — żołądziowy człowieczek nie słuchał nikogo i powędrował w leśną głębinę.



O ŻOŁĘDZIOWYM CZŁOWIECZKU I O RYCERZACH
KASZTANOWYCH.

kiem z zaostrzoną zapalką, jako mieczem; na drugi wbił płaską przyłepkę dużego kasztana, tworzącą tarczę.

Dwa malutkie kasztanki przebił patyczkami, tworzącymi nogi i zakończył butami z rozciętego kasztana. W taki sam sposób zrobił drugiego rycerza i ustawił ich z obu stron żółodziowego człowieczka.

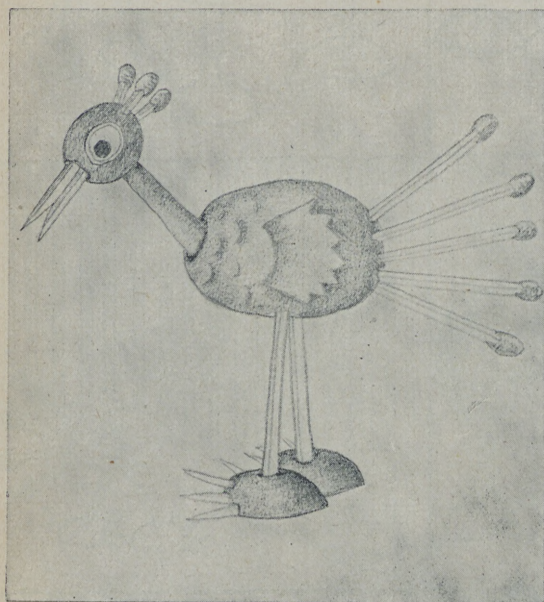
— Widzisz, wzięli go do niewoli, prowadzą i mówią: „Król pojechał na wojnę, zamknijemy cię za kratą, czekać będziesz, jak wróci i skarże cię na śmierć, bo nie wolno nikomu przekraczać granic kasztanowego królestwa”.

Rozciął Jaś parę kasztanów, powbił w nie zapalki i ustawił, tworząc sztachety, za którymi stał uwięziony żółodziowy człowieczek.

Nazajutrz strażnicy poszli na polowanie, a żółodziowy człowieczek siedzi zamknięty i myśli z tęsknotą o lesie rodzinnym.

Wtem „cir, cir”, słyszy głos znajomy, trzepotanie skrzydeł i ptak, towarzysz zabaw, przed wzięciem staje.

— Czy będzie i ptaszek, Jasiu? — pyta Jędrus nieśmiało.



PTASZEK.

— Naturalnie, już się robi.

Duży kasztan — to tułów. Patyczek — to szyjka. Mały kasztanek — to główka, nasadzona na szyjkę. Zciął Jasio z głowy dwa okrągłe kawałki skórki na oczy, w środek wbił gwoździe i dwie zaostrome, czerwone zapalki na dziób. Dwie zapalki z połówkami kasztanów umocował, jako nogi, w kasztanki wbił po 4 kawałki zaostromych zapalek, na pazurki. Zapalki na ogonek, kawałki zapalek na czubek — i ptaszek gotów. Jeszcze ze skórki kasztana wyciął Jaś dwa skrzydełka i wsunął w nacięcie tułowia.

Wleciał ptaszek do więzienia, wsiadł żółodziowy człowieczek na niego i poleciał wysoko!... Rycerze wracają i widzą przerażeni, że więzień ich buja swobodnie i żegna się z nimi zdaleka.

Jędrus ustawił swoje nowe zabawki, a potem rzucił się Jasiowi na szyję i mocno, mocno go ucałował.

M. Wertensteinówna.

3)

Staś Kaszuba.

Przygoda trzecia, z której dowiadujemy się, jak to Staś dostarczył rozrywek babuni.

Staś miał babunię: drogą, kochaną, opowiadającą piękne bajeczki. Ale babunia miała sparaliżowane nogi i od lat kilku nie chodziła, a przenoszono ją rano z łóżka na fotel. Dni całe spędzała zimą przy oknie, latem na ganeczku, naprzemiany modląc się i robiąc szale na drutach, choć i ta praca szła jej niesporo powykręcanemi palcami.

Babunia często wyrzekała na swój los, a zwłaszcza na to, że domek stoi przy drodze, którą rzadko przejedzie jaki wóz i to zawsze tylko jednego z mieszkańców wioski. A tymczasem blisko, przystłonięta zagajnikiem, rozdzielała się szosa w stronę Morzeszczyna i Gniewu, z drugiej strony ku Starogardowi, wreszcie na południe trzecie ramię wyciągało się w stronę Smętowa. W miejscu, w którym rozwidlały się te drogi, stał potężny słup, na którym trzy wąskie deseczki nosiły napisy kierunku i odległości owych miast i wsi, ku którym od rana do nocy przesuwały się wozy, bryczki, auta, motocykle i rowery.

Do uszu sparaliżowanej babuni dochodził turkot kół, różnorakie odgłosy aut, doniosłe prychanie i trzask motocykli, budząc pragnienie zabawienia oczu widokiem tych różnorodnych środków przewozowych, ludzi i zwierząt zaprzęgowych. Do pragnienia tego przyznawała się szczerze i nieraz płakała w swem starczem dzieciństwie, że los nasuwa jej wciąż pokusę zabawienia oczu i każe tem dotkliwiej odczuwać nudę i osamotnienie.

Staś bardzo babunię kochał i nie mógł patrzeć na jej łzy. Gdy namowy rodziców, by przeprowadziła się do nich, nie odniosły skutku, postanowił Staś, nie mogąc przenieść babuni nad ruchliwą drogę — szosę do niej przybliżyć.

Nadeszły wakacje i Staś został wysłany do babuni dla umilenia jej życia przez kilka tygodni. Zaraz na wstępie musiał wysłuchać długich utyskiwań babuni na odludną drogę.

— Babuniu, ja wykopię słup i przeniosę go tu blisko babci domu.

— O ty głuptasie; toczy cię za to do kozy wzięli.

— Ja to zrobię nocą.

— Nie dasz rady: słup głęboko w ziemię wkopany; zresztą toby nic nie pomogło. Temi drogami jeżdżą swoi ludzie, z okolicznych wsi: żaden na tablicę nawet nie patrzy, jedzie swoją szosą, ani pyta.

Dokończenie przygody trzeciej nastąpi.

Listy dwóch przyjaciół.

Drogi Jędrku!

Wyobraź sobie, że wczoraj jechałem pierwszy raz w życiu samochodem. Ach, jak dobrze się jedzie! Nie masz wyobrażenia. Szofer mi dużo opowiedział, jak się co nazywa, i poco jest to koło i co jest w motorze. A wiesz, dlaczego pojechałem samochodem? Bo byliśmy z Wu-

jem i z Wujenką u wujowego kuma aż na Czerniakowskiej, ale mi się nie podobało na tej zabawie, bo Pan Feliks, taki młody fryzjer, upił się. Mój tato to się nigdy nie upijał. A i chłopaki w naszej wsi — przecież wiesz — też się nie upijają, bo należą do „Kótek młodzieży wiejskiej”. Wychodzimy, a tu deszcz leje. A Wujenka była w nowej sukni i Halinka (bo ja Ci nie pisałem, że Wujostwo mają taką matką Halinkę) się rozespła, więc Wuj powiada: — Co tam, matka, pojedziemy autem! — No i pojechaliśmy przez całą Warszawę, bo z Czerniakowskiej aż na naszą Piwną.

A w sobotę, to miałem straszną przykrość. Bo Wuj nauczył mnie trochę sprzedawać w swoim sklepiku i nauczył mnie ważyć. Więc w sobotę przychodzi jakaś dziewczyna i mówi o kilo cukru. Ja jej ważę doskonale, wiem z pewnością, że doskonale, a ta ci do mnie:

— Niech Pan nie oszukuje na wadze! — A we mnie, jakby kto strzelił. Ja oszukuję? Ja jakieś złodziejstwo robię? Myślałem, że już ją trzasnę, ale przecież dziewczyna. Choć ona i dorosła, ale napewno jestem mocniejszy, więc tylko powiedziałem: — Niech Pani sprawdzi!

Ale tak mi było przykro, że ojej! Jak ona mogła pomyśleć?..

Muszę już kończyć, bo Wuj się gniewa, że dużo wypalam elektryczności. Pisz do mnie!

WŁADEK.



W Szwecji dziewczynki nawet w klasie nie rozstają się ze swemi kapturkami, stanowiącemi część stroju ludowego szwedzkiego.



Zbliża i zdaleka



POŚWIĘCENIE POMNIKA POLEGŁYCH POD RADZYMINEM. 9 października b. r. odbyło się uroczyste poświęcenie pomnika-kaplicy pod Radzyminem, wystawionego dla uczczenia poległych w obronie Warszawy w r. 1920. W uroczystości wzięli udział dostojnicy państwa i liczne organizacje społeczne.

PIERWSZY ŚNIEG. W dniu 6 października spadł na południu Polski pierwszy śnieg. Samoloty towarzystwa komunikacji lotniczej, Aeroloty, kursujące między Krakowem a Lwowem, przelatywały wśród śnieżyicy. O śnieżyicy donieśli również lotnicy, lecący z Wiednia do Krakowa.

ZJAZD KÓŁ MŁODZIEŻY CZERWONEGO KRZYŻA. Od 25 do 31 lipca b. r. odbył się w Brukselli zjazd delegatów Kół Młodzieży Czerwonego Krzyża. Na zjazd przybyli delegaci 25 krajów (Kola istnieją w 38 krajach i liczą razem 9.604.236 członków). Na zjazd przybyli nawet delegaci z dalekiego Sjamu, Nowej Zelandji, ze Stanów Zjednoczonych. Byli też i Polacy. Na zjeździe omówiono sposoby organizowania i prowadzenia Kół. Polski Czerwony Krzyż Młodzieży liczy 114.000 członków.

WYSTAWA RADJOWA W WARSZAWIE. Dnia 8 października b. r. została otwarta w Dolinie Szwajcarskiej w Warszawie wystawa radjowa. Na wystawie znajdują się najnowsze wynalazki z dziedziny radjo.

TRZECHSETLECIE NEW-JORKU. W roku bieżącym stolica Stanów Zjednoczonych obchodziła 300 lat swego istnienia. Dla uczczenia tej rocznicy jedna z wielkich firm w New-Jorku urządziła wielką wystawę, na której powszechną ciekawość budziły zgromadzone obrazy wybitnych malarzy amerykańskich, przedstawiające różne momenty z dziejów New-Jorku.

Co u nas słyhać.

KOCHANY „PŁOMYKU”!

Ponieważ słyzałem to i owo o niedźwiedziach, będąc tu, w Zakopanem na hali Waksmundzkiej, więc chcę Ci opisać ten wypadek.

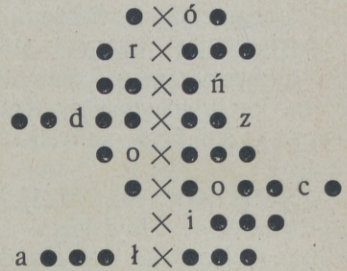
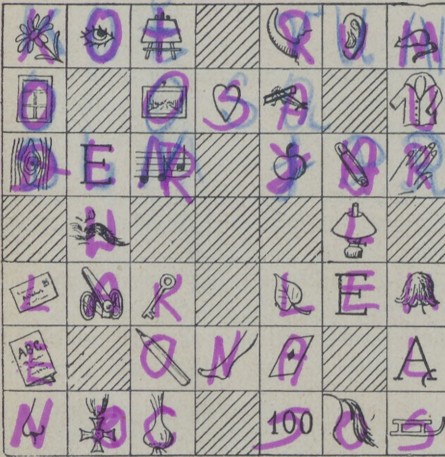
Pewni turyści wybrali się w góry i zaszli na halę Waksmundzką, tam rozebrali się i zaczęli się opalać na słońcu. Wtem jeden z turystów zwrócił uwagę na podejrzane szmery w pobliskim lesie. Zaciekawito ich to, ale myśleli, że ktoś z ludzi nadchodzi. Wtem ku swojemu przerażeniu ujrzeli ogromnego niedźwiedzia. Zapomnieli o ubraniach i zaczęli się wspinać na drzewa, tymczasem niedźwiedź wyszedł z lasu, rozejrzał się wkoło, podszedł do miejsca, gdzie turyści wypoczywali, zjadł ich zapasy i poszarpał ubrania.

Turyści, przerażeni i w niekompletnych ubraniach, musieli powrócić do Zakopanego! Niestety, niedźwiedź był przyczyną nie tylko śmiesznych wypadków: ofiarą jego ciężkich łap padły też dwie góralki.

Wypadek prawdziwy opisał *Miet Czubalski*.



KRZYŻÓWKA OBRAZKOWA. LOGOGRYF GEOGRAFICZNY.



Na miejscu kropek i krzyżyków postawić litery. Każda linja pozioma utworzy wówczas nazwę miasta polskiego, dobrze znanego.

Należy odgadnąć, co wyobrażają rysunki i na miejsce każdego wstawić pierwszą literę odnalezionego wyrazu, wówczas powstanie mała krzyżówka.

Rząd pionowy, oznaczony krzyżykami, da nazwę największego z tych miast. Dla ułatwienia podane są niektóre litery.

Z A G A D K I.

1.

Spróbuj odgadnąć, kochane
dziecię,
Co najprędzej wieści roznosi
po świecie?

2.

Wśród ciemności powstają,
zawsze w ziemi łonie,
Jednak nawet korona od ich
blasku płonie.

REBUS.

ROZWIĄZANIA z Nr. 4.



Szarady (Nr. 8):

TATARAK.

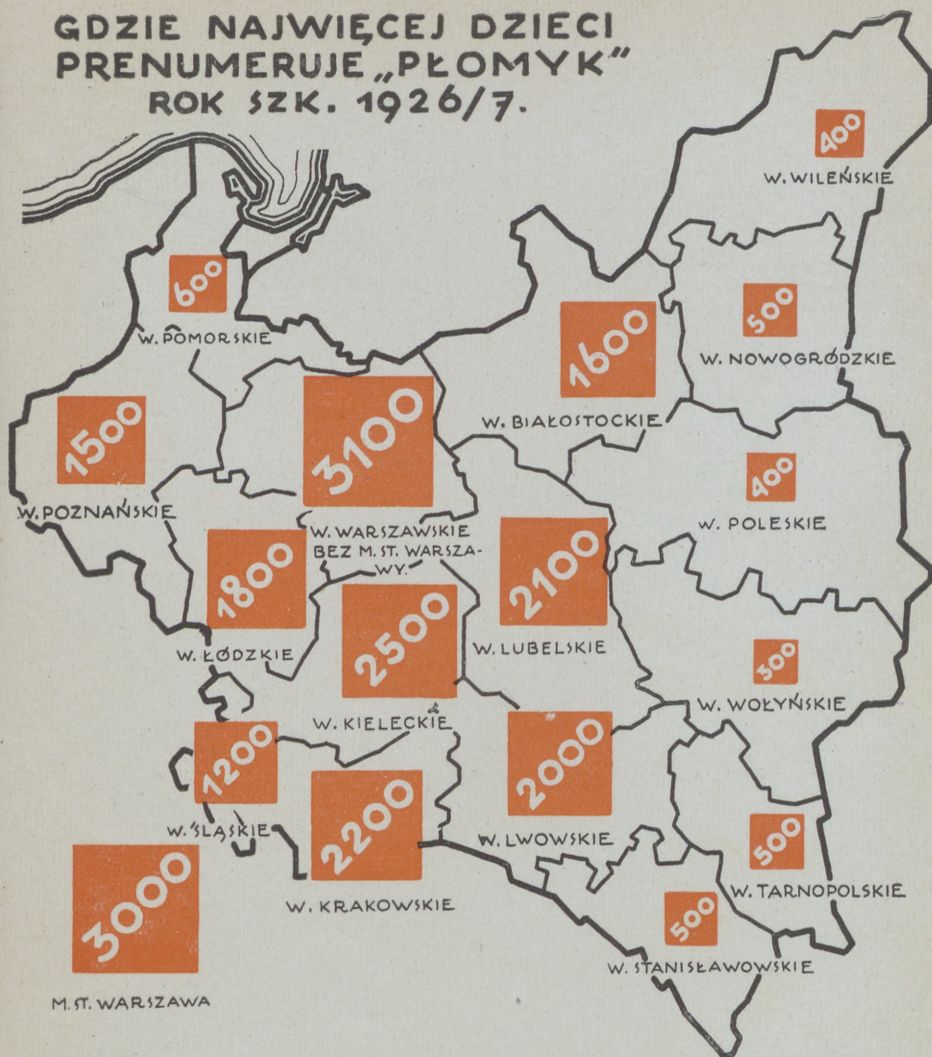
Zagadki (Nr 9):

RÓW — WÓR.

Rebusu (Nr. 10):

ZIEMIĘ OŚWIETLA
SŁOŃCE.

GDZIE NAJWIĘCEJ DZIECI PRENUMERUJE „PŁOMYK” ROK SZK. 1926/7.



W roku szkolnym 1926/7 w Polsce było 24,200 prenumeratorów „Płomyka”, oprócz tego poza granicami Polski 200, razem 24,400. Czytelników jednak „Płomyk” miał znacznie więcej, bo często jeden numer „Płomyka” czytuje cała klasa. Dotychczas żadne pismo dla dzieci i młodzieży nie miało w Polsce tak znacznej liczby prenumeratorów, ale powinno ich być dużo więcej.

KOT.

Wstał z progu, wygiął się, przeciągnął,
Na paluszkach cicho stąpa,
Skoczył na płot

kot.

Przysiadł, czeka. Jak dwie świece
Płoną, gorą dwie źrenice

kota.

Ale zaraz dostrzegła go wróbla hołota.
Już krzyczą, wołają, ćwierkają:

— Uwaga! o tu, o tu,
Nie dajcie się złapać *kotu*,
Omijajcie *kota!*

W lot

Na wierzchołki drzew,
A dopiero stamtąd
Prześmieszki, ćwierkania,
Wołania, śpiew:
— Hej, tam na płocie,

Dobry wieczór, panie *kocie!*
Coś drgnęło, coś szarpnęło wtedy
panem *kotem.*

Ale się opanował, oblizał się potem
I takie myśli zaczęły w nim mruzczyć
(Jak to zresztą zwykle w *kocie*):

— A, tych łobuzów są tu całe krocie.
Już dostrzegły, a jeszcze dalej lecieć
mogą...

Ani nie ruszę nogą
I gonić ich nie zaczęję,
Bo przecie — rzecz to wszystkim już
wiadoma —

Wróble są niesmaczne.

Łapą po licu się głośną,
Skulił się
I z głodu — zasnął.

J. S.

Napiszcie nam, jakie ćwiczenie gramatyczne przypomina Wam ten wierszyk?



WARUNKI PRENUMERATY:

„Płomyk” miesięcznie 1 zł. 50 gr. — za cały rok szkolny 14 zł.
„Płomyczek” „ 1 zł. — „ „ „ „ 9 zł.
„Płomyk” z „Płomyczkiem” miesięcznie 2 zł. — — „ „ „ „ 18 zł.

ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Płomyka” — 40 gr., „Płomyczka” — 25 gr.,

„Płomyka” z „Płomyczkiem” — 50 gr.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu 322-18. Konto czekowe P. K. O № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja otwarta codziennie od godz. 9 rano do 7 wiecz. Prenumeratę przyjmuje oprócz administracji „Nasza Księgarnia” — ul. Widok 22 i Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — ul. Marszałkowska № 123.

Wydawca: w imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — HELENA RADWANOWA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.